

Drżą szyby – Czarny Czwartek — Kazjuno

Od autora: Tak z perspektywy pokątnego złodziejaska - jakim stałem się w tamtym czasie - zapamiętałem grudniową rozprawę komunistów ze słusznie protestującą ludnością Trójmiasta w Grudniu 70.

Parę godzin kluczyli Wartburgiem po peryferyjnych ulicach i drogami odległymi od centrum Gdańska.

– Pamiętaj – zwrócił się ostro Maniek do siedzącego za kierownicą Alka. – Jak by chciał nas zatrzymać patrol milicji, to wal prosto na nich pełnym gazem – zaznaczył. – Jak by nas złapali, to za skradzioną wódkę na bank dostaniemy wieloletnie wyroki. Musimy ich rozjechać.

Przez plecy Alka przeszedł dreszcz przerażenia.

Przecież gliny zaczną strzelać ostrą amunicją – wystraszył Koryckiego pomysł kryminalisty. – Można dostać śmiertelny postrzał...

Pomysłu Mańka nie skomentował Rysiek.

Czyżby kolega ratownik zaakceptował szaleństwo Mańka? – Wzmogło się zaniepokojenie kierowcy.

Alek z ulgą zatrzymał Wartburga na opustoszałej szosie prowadzącej do Nowego Portu. W czasie, kiedy oddawali mocz w przydrożnych krzakach, mimo kilku-kilometrowej odległości od centrum Gdańska, usłyszeli parę grzmotów wybuchających potężnych petard. Pomysł na ukrycie alkoholu zaproponował Maniek.

– Mam we Wrzeszczu ciotkę, u niej możemy skitrać wódeczność.

Szczęśliwie po drodze nie napatoczyli się na milicyjną kontrolę. Kilkadziesiąt butelek wnieśli do piwnicy starego poniemieckiego domu z popękany i odpadającym tynkiem. Pozbawionego szyby Wartburga zostawili w Oliwie pod stacją TOS-u (Terenowa Obsługa Samochodów)

Wieczorem, zatajając opowieść dotyczącą rabunku alkoholu, Alek chciał się podzielić z ciotką wrażeniami z Gdańska. Siostra matki jednak demonstracyjnie milczała. Jednak godzinę później Alek jedząc kolację usłyszał jej krzyk.

– Chodź tu posłuchać! Może coś trafi do twojej pustej łepetyny...

Alek zastał ciotkę Helenkę słuchającą telewizyjnego dziennika. Na ekranie ujrzał zirytowaną twarz Stanisława Kociołka – wojewódzkiego sekretarza PZPR w Gdańsku. Pełnym jadu głosem wygłaszał orędzie do mieszkańców Trójmiasta. Szczególnie ostatnie słowa Kociołka wydały się groźne.

– Jeśli jutro odbędą się jakiegokolwiek ataki na nasz ustrój sprawiedliwości społecznej, władza użyje wszelkich środków, aby przywrócić porządek.

Pewnie komuchy użyją ostrej amunicji – dotarło do Alka.

Zanim się położył spać, jak majaki koszmarnego snu przypomniały się mu sceny rozpryskującej się krwi rozszarpywanego i rąbanego siekierą oficera milicji. Długo nie mógł zasnąć.

Nazajutrz przed śniadaniem pobiegł na kondycyjną zaprawę w stronę mola. Na plażę przeskoczył przez płot dzielący molo od terenu Grand Hotelu. Był to szary nadal bezśnieżny dzień, czwartek 17-go grudnia 1970 roku. Jak zapowiedź nadchodzącej grozy zaskoczył go widok zamglonego morskiego horyzontu. Od Gdańska do Gdyni, jak pomniejszony druk pogrzebowego nekrologu, czerniły się niezliczone sylwetki wyrzuconych na pełne morze handlowych statków.

Ale ich dużo! – Rysiek miał rację – przypomniał sobie jego słowa o pozbawieniu załóg zagranicznej handlowej floty możliwości radiowego informowania świata o walce komunistów z mieszkańcami Trójmiasta.

– Gdzie znowu leziesz? – Zaatakowała ciocia Helenka Alka, widząc że szykuje się do wyjścia.

– Umówiłem się z kolegą.

– Tym prezentującym się jak cinkciarz typem o podejrzanym wyglądzie?

– To ciociu odpowiedzialny człowiek. W lecie pracował na plaży jako ratownik.

– Mam tego dość. Ty wiesz, że z kiosków i aptek zniknęły wszystkie materiały opatrunkowe? Szpitale są przepełnione rannymi, jest dużo śmiertelnych ofiar.

– My z kolegą nie pchamy się tam, gdzie strzelają.

– Bezczelnie mydlisz mi oczy! – ze złością powiedziała ciotka. – Jak coś ci się stanie, twoja matka mi nie wybaczy, że cię nie powstrzymałam. Proszę bardzo, szukasz ryzykownych rozrywek, to zamieszkaż u kolegi, ale nie pod moim dachem.

* * *

Na powitanie Ryśka z Alkiem, z bramy domu o popękany tynku wyszedł Maniek. Miał minę, jakby bolały go zęby.

– Ktoś musiał zobaczyć, jak wnosiliśmy wódkę. Ukradli nam wszystkie butelki – wymamrotał do przybyłych współników z rozbieganymi oczami.

– Wierzysz temu skurwysynowi? Maniek nas okradł – powiedział rozgoryczony Rysiek kilkanaście minut później.

– Chyba masz rację – niechętnie przytaknął Alek, który nie mógł uwierzyć w niegodziwość uciekiniera z więzienia, którego przed laty żywili z bratem wynoszonym z kuchni rodziców jedzeniem w czasie Mańka a ucieczek z domu.

Koledzy, nie odzywając się do siebie, dreptali podmiejskimi uliczkami Wrzeszcza, nie mając pomysłu, co robić dalej. Milczenie przerwał Alek.

– Dobrze byłoby dowiedzieć się, co knuje władza. Tu niedaleko jest garnizon i mamy tam kumpla Jacka Barana. W wojsku chyba coś wiedzą?

Idąc wzdłuż koszar, zbliżali się do mieszczącej się za płotem sali gimnastycznej, Tam zastali w czasie od-

wiedzin przed dwoma miesiącami wrocławskiego wokalistę i pili wino przed dyskoteką. Zobaczyli trzech żołnierzy w hełmach obciążonych siatkami służącymi do maskowania, szli z naprzeciwka. Automaty Kałasznikowa kolebały się im na wydłużonych parczanych pasach, na wysokości bioder, jakby gotowe do natychmiastowego użycia. Też mieli przytroczone torby z zapasowymi magazynkami. Prezentowali się groźnie.

– Na pewno są z kompanii Barana – powiedział przyciszonym głosem Alek. – Są naszego wzrostu, jak my i Jacek mają po metr osiemdziesiąt.

– To zapytajmy ich, jak możemy wywołać Jacka?

Już mieli się minąć z patrolem, kiedy zagadnął do nich Alek.

– Macie chłopaki zapalki? – Wyciągnął paczkę klubowych. – Poczęstujcie się. – Wysunął papierosy.

Zaciekawieni modnie ubranymi Ryśkiem i Alkiem przystanęli chłopcy z desantu morskiego. Jeden wyciągnął zapalki, drugi sięgnął po klubowego.

– Chcemy zobaczyć Jacka Barana. Chyba z waszej kompanii... – zagadnął Rysiek.

– Nie zobaczycie go, siedzi w pace... no, zaaresztowali go, bo na stołówce pobił żołnierza, co rzucił w niego salcesonem – wyjaśnił jeden z żołnierzy.

Na chwilę skoszarowani z Jackiem Baranem wojskowi i Dolnoślązacy patrzyli na siebie w milczeniu.

– Dzisiaj chłopaki uważajcie, może być niebezpiecznie – powiedział ten poczęstowany papierosem.

Jego towarzysz uzupełnił przestrożę, podnosząc wyżej maszynowy pistolet i odwracając broń, wyjął magazynek. W szczelinie magazynka tkwiły napoje o zielonkawej łusce i złocącymi się ostrymi pociskami.

– W razie czego mamy rozkaz strzelać bez ostrzeżenia...

Po drodze do stacji elektrycznej kolejki Rysiek z Koryckim zobaczyli jadące główną arterią Wrzeszcza opancerzone transportery wojskowe i amfibie w kierunku centrum Gdańska. Zwracały uwagę poszarzałe twarze siedzących w pojazdach żołnierzy. Malowało się na nich napięcie i... strach. Rozglądali się na boki, ich do góry skierowane oczy ślizgały się czujnie po oknach mijanych budynków, wypatrywali mogącej nastąpić napaści. Podobnie jak trójka z patrolu spotkanego koło garnizonu mieli na hełmach siatki maskujące i broń gotową do strzału. Każdy z pojazdów miał na przodzie zainstalowany wielkokalibrowy karabin maszynowy ze zwisającą taśmą dużych złocących się naboji łączącą pudła skrzynkowych magazynków z zamkami groźnego oręża. Celowniczy tych broni, mogących efektywniej od pistoletów maszynowych rozsiewać śmierć, nerwowo wodząc lufami skierowanymi na wyższe piętra domów, wypatrywali zagrożeń.

– Komuchy ze strachu wytoczyli desant morski – powiedział Rysiek.

– Srają w gacie, dlatego chcą zabijać bezbronnych demonstrantów – dopowiedział Alek.

Ciotka Helena zadowolona z wcześniejszego powrotu Alka odetchnęła z ulgą.

– Ugotowałam barszcz – powiedziała troskliwym tonem. – Może coś byś zjadł?

– Chętnie ciociu. Potem się położę, źle dzisiaj spałem.

Po posiłku Alek zasnął jak kamień, ocknął się półprzytomny nie wiedząc ile spał i czemu się obudził.

Co się trzęsie? – Nie mógł zrozumieć nerwowego przebudzenia. – Drżały szyby okna wychodzącego na ulicę Królowej Jadwigi. Na krótko przestawały, by za chwilę, ponownie się trząść.

– O rany boskie! – jęknął. – Odruchowo się przeżegnał.

W oddali od strony Gdyni ujadały zanoszące się długimi seriami karabiny maszynowe.

Strzelają ostrą amunicją długimi seriami do ludzi. Masakrują bezbronny tłum – zrozumiał. Szybko się ubrał.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta po południu, na dworze robiło się ciemno. Przypomniał sobie, że za pół godziny jest umówiony z Ryśkiem. Z mieszkania ciotki wymknął się niepostrzeżenie.

– Chodź pojedziemy do Gdyni – zaproponował kolega ratownik, już wiedząc o dokonanej tam masakrze.

– Mam cykor. Tam może być niebezpiecznie – wahał się Alek.

– Nie wygłupiaj się, potrzebuję obstawy. Tam są rozbite sklepy. Może uda się gwizdnąć kozuchy z rozwalonego komisju.

– Sram na kozuch. Chcesz narażać życie, żeby strugać bogatego eleganta?

– To okazja, takie baranie futro jest warte tyle co cztery nasze wypłaty za robotę w porcie.

Wagony elektrycznej kolejki jadącej w stronę Gdyni świeciły pustkami. Kiedy pociąg zatrzymywał się na stacji Gdynia Wzgórze Nowotki¹ Alek z Ryśkiem zauważyli, że mimo bezśnieżnego grudnia przed dworcem i na głównej drodze łączącej Trójmiasto jest biało.

– Padał śnieg? – Zdziwił się Moroch.

Nieoczekiwanie podszedł jedyny w wagonie przyglądający się Koryckiemu i Ryškowi młody skromnie ubrany wyrostek.

– To nie śnieg, panowie – powiedział młodzieniec. – To są gazety, którymi przykryta jest krew. Strzelali z karabinów maszynowych do tłumy ludzi wysiadających z pociągu...

Nie udała się eskapada po kozuchy. Witryny rozbitych okien sklepów komisowych zasłaniały płyty ze sklejek i desek. Po gdyńskich ulicach krążyły patrole milicji i żołnierzy uzbrojonych w broń długą. Na skrzyżowaniach stały czołgi.

Tylko raz Alek z Ryśkiem poczuli groźbę śmierci. Szli uliczką równoległą do ulicy Wiejskiej, mijając po kolei stojące stare czołgi T34 przyczajone, by w razie potrzeby ruszyć do akcji. Do oparów smarów i olejów wydzielanych przez pancerne pojazdy wmieszał się smakowity zapach świeżych pączków z sąsiedniej cukierni.

– Zjemy po jednym – zaproponował Rysiek.

Skręcili przed jednym z czołgów, ruszając w poprzek ustawionych pojazdów, gdy kliknęła otwierana kłapa z czołgowej wieżyczki. Szczęknął zamek przeładowywanego kałacha. W stronę amatorów pączków skierowała się lufa broni czołgisty.

– Paszli w chuj – zagrzmiął napięty głos, a otwór lufy AK47 przeskakiwał raz na Alka, raz na Ryśka, jakby wybierając do którego zacząć strzelać.

Wtedy po raz pierwszy w życiu porażony strachem Korycki poczuł nigdy przed tym nie doznany skurcz w podbrzuszu. Chwilę później, już po zjedzeniu pączka zapytał kolegę:

– Słyszałeś jak ja, że czołgista zagadał po rusku?

– Chciał pociągnąć po nas serią...

¹Obecnie ta stacja ma nazwę Gdynia-Wzgórze św. Maksymiliana.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 08.10.2024 11:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.